

665
Janda

Andrzej Żurowski

Nigdy nie spodziewałem się zobaczyć takiej roli Jandy. Że jest aktorką utalentowaną, nie miałem wątpliwości od samego jej debiutu – od filmowej roli w *Człowieku z żelaza*, w której tyle intrygowała, ile irytowała zarazem. Że jest Krystyna Janda aktorką wybitną – osobnym, indywidualnym kolorem w pejzażu współczesnego aktorstwa polskiego – stawałem się pewien wraz z coraz bliższą z nią znajomością, z rolami w filmach i tv, w teatrze Ateneum i zwłaszcza Powszechnym. Że z tej nieznośnie nadekspresyjnej dziewczyny w dzinsach z debiutanckiego obrazu u Wajdy wyrastała autentyczna profesjonalistka o uderzającej sile wyrazu, dawała Janda dowody coraz liczniejsze i godne podziwu różnaitością aktorskich modelunków tak odmiennych, jak bulwarowa bohaterka *Edukacji Rity*, Strindbergowska panna Julia czy, za chwilę, Eurypidesowa Medea. Że wszystko wie o kamerze, świadczyły nie tylko filmy. Jest Janda ponad wszelką wątpliwość osobowością; niecodzienną, jakie na palcach w naszym aktorstwie liczyć. Jaką ta osobowość ma końską siłę, starczało zważyć stopień uwagi i napięcia, w jakim Janda potrafi na scenie czy telewizyjnym ekranie utrzymać widza w godzinnych monodramach. A to właśnie dopiero – osobowość – po stopniach talentu, techniki, profesjonalizmu i czego tam jeszcze, tylko bardzo nielicznym pozwala dostąpić progu wielkości. Tego progu, za którym dopiero aktor jest kreatorem – nie tylko postaci, lecz więcej wiele: sztuki dotknięcia w widzu najgłębszych i najtajniejszych rejonów.

A tego właśnie progu nigdy się u Jandy nie spodziewałem. Więcej, byłem pewien, że go nie przekroczy. Myliłem się. Tak kardynalna zawodowa pomyłka potrafi... serdecznie uradować, jeżeli krytykowi porażkę wynagrodzi autentyczne przeżycie.

Co się właściwie stało, że po latach bliższej z nią już przecież artystycznej znajomości Krystyna Janda nagle, jako bohaterka *Kobiety zawiedzionej* Simone de Beauvoir tak mi zawibrowała i zrujnowała swój

dotychczasowy obraz? To: przesunięcie punktów ciężkości. Ten sam przecież styl, ten sam kształt i charakter kreatywności, a *tylko* przemieszczenie właśnie gradacji środków. Jak znakomicie kreuje Janda osobowość bohaterki Beauvoir, chwilami wręcz uderza – zwłaszcza w scenach z niektórymi partnerkami, przez... kontrast. To coś, co się nagle w tej roli stało, to spożytkowanie tego, czym Janda – przy całym uznaniu – wcześniej tak była często nieznośna: nadekspresji. I oto całą tę właściwą jej ekspresyjną siłę Janda obróciła do wnętrza – w głąb postaci, w rejony przeżyć, dla których zewnętrzne objawy są ledwie śladem. I oto wcześniejsza nadekspresja zewnętrzna w obrazowaniu postaci przerodziła się w wewnętrzny żar. W całopalenie tego, co po wierzechu prawie niewidoczne, a... parzy. Autentyzm. On tylko pozwala spełnić się największej z tajemnic teatru: zespoleniu widza z postacią, utożsamieniu. Spojrzeniu poprzez oczy aktora w głąb – w siebie.

Notuję to z najgłębszą radością: od lat mieliśmy w Jandzie jedną ze świetnych polskich aktorek. Wczoraj na ekranie telewizora urodziła się aktorka wielka.

PS. Taką masę głupot wypisuje się po gazetach, że na pewien drobiazg miałem zamiar machnąć ręką i zbyć go milczeniem. Ale właśnie w kontekście kreacji Krystyny Jandy nie mogę. Otóż w swym telewizyjnym felietonie *Po szkłe Atlas* nagle zajął się teatrem tv i aktorstwem (*WK* nr 20). Spróbował zrecenzować *Trio o zmięczeniu* Cowarda, o którym w rubryce *Teatr Telewizji* pisałem tydzień wcześniej. Choć nasze opinie różniły się diametralnie – co zwykle podnieca i zaciekawia – zrobiło mi się po prostu smutno. A to dlatego, że biednego Atlasa dopadło oto nieszczęście, które trafia się tym, co to znają się na wszystkim... Może Atlas i jest ekspertem w tysięcznych sprawach, o których wyrokuje, ale o teatrze, a zwłaszcza o aktorstwie – jak czarno na białym wykazał – nie ma zielonego pojęcia i wypisuje kompletne bzdury. Kiedy się myli błahą bulwarówką z majstrowskimi w niej rolami Hołoubka, Wiśniewskiej, Budzisz-Krzyżanowskiej i wykorzystuje to do grubych żartów i wyroków, wówczas bynajmniej nie aktorów się ośmiesza... Jest jednak na to, Januszu, rada: dać sobie spokój albo trochę się poduczyć.